

# Na pogrzebie



ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

## Na pogrzebie

### I

— Tu panie chojary były w tym lesie ha! — prawil dalej Marcinek. Ale naprzód ciął pan, teraz zydy z Kałusyna tną a tną, az jęcy.

Nagle bryczka pochyliła się nad rowem, obaj uchwyciliśmy się przeciwnego jej boku, konie stanęły, Marcinek umilkł, zeskokzył w kałużę i po chwili szepnął smutnie:

— Oś pękła.

A niebo, jak gdyby rozczulone naszym losem, tak rzewnymi zapłakało łzami, że aż konie parsknęły, a my wtuliśmy uszy w podniesione kołnierze paltotów. Tylko Marcinek, nieczuły na spływające mu po nosie krople deszczu, badał spokojnie złamaną oś i liczył w duszy złotówki, które za nową będą musieli zapłacić... „poćciwi panowie”.

— Ha, „nieszczęście jest wielkością człowieka na ziemi” — mówi poeta, rzekłem wesoło do mojego towarzysza, który już zaczął sykać w tej wrześnieowej kąpieli; dziękujmy więc losowi, że nam dał przynajmniej taką sposobność odznaczenia się. Osi nie naprawimy, bez niej nie dojedziemy, a wieś blisko; niech więc Marcinek zostanie przy bryczce, my zaś dopełnijmy miary naszych wyższych przeznaczeń i powędrujmy pieszo.

Bez długiego namysłu plusnęliśmy w błoto, które nam aż po oczy bryznęło, i wybierając najtwardsze miejsca, podążyliśmy ku wiosce, leżącej tuż za lasem, podczas gdy nasz woźnica stanął stoicko pod przydrożną sosną. Humor studencki zdolny jest nawet niebo wypogodzić. To też spojrzawszy na nas brnących wesoło po błocie i zmokniętych, rozjaśniło się ono nieco i zaczęło mżyć delikatnie.

— Brr! potoniemy jak wojsko faraonowe w tem morzu — zawołał wreszcie mój kolega — i nie dostaniemy się do wsi.

— Odwagi Józiu — odrzekłem rozśmieszony — przodkowie nasi nie takie morza przepływali.

— Na koniach!

— Masz słuszność, szkoda, żeśmy nie odprzęgli naszych rumaków i nie puścili się na nich. Ale mniejsza... jesteśmy już prawie u celu.

— Czy ty myślisz — rzekł Józef — że nam bryczkę zaraz naprawią i zdążymy na szóstą do stacyi? Już po czwartej, a chłop, zanim coś poradzi, potrzebuje na podrapanie się w głowę z pół godziny.

— To zanocujemy.

— Klepkę chyba z głowy zgubiłeś — zawołał mój towarzysz, spojrzawszy na mnie zdziwiony.

— Opatrz swoją braciszku i powiedz mi, co w tem byłoby tak strasznego? Jeżeli dziś nie przyjedziemy do Warszawy a jutro opuścimy cztery godziny mądrości, wydrukowanej w podręcznikach przed trzydziestu laty...

— Ależ nocować w dziurawej stodole lub zatęchłej chałupie razem z prosiętami!...

— Czemu nie? Spróbujemy tych wygod spania przez sześć godzin, których tylu ludzi kosztuje przez całe życie.

— Lubię demokrację — mruknął Józef — o ile ją mój nos znosi.

— I jabym ją nosem oceniał, gdybym miał ogon, którym mógłbym na arystokratyczną woń pokręcić.

Przygryzek był ostry, rozgrzeszała go jednak dawna nasza przyjaźń. Mimo to kolega mój, wykołysany w dostatku pieszczoch losu, szedł chmurny i rozdrażniony myślą

noclegu w nędznej wioszczynie, którą obecny właściciel, gdyby mu subhastacya nie była przeszkodziła, miał przechrzcić na *Sans souçi*, a którą jego dziad przezwał poprostu Przytykiem.

Do mizernego dworku, na którego starym i prostym zrębie powyskakiwały jakieś nowe, cudaczne wieżyczki, prowadziła kiedyś gęsta, a dziś poszczerbiona aleja, załamująca się i przedłużająca gościńcem, przy którym stanęły w długim szeregu chaty włościańskie. Jakkolwiek przeczuwałem, że dziedzic *Sans souçi* niema w swem gospodarstwie ani jednej całej osi i ani jednej gościnnej koldry, dla rozczarowania wszakże mego arystokratycznego kolegi spytałem przechodzącego parobka:

— Pan w domu?

— Ale, gdzieby! — odrzekł, ruszywszy ramionami, jak gdybym go zagadnął, czy wiatr, który mu wczoraj czapkę zrzucił, wieje jeszcze na polu.

— Wyjechał?

— Jeździ — pono teraz ogląda gdzieś bazianty.

— Macie bażantarnię?

— Bogać tam!

— A bryczkę?

— Juści była, ale jak raz zawadził, tak posła!!

— Przenocować we dworze nie można?

— Pokojów jest dosyć, ale żeby tak postania, nie widziołem. Siedzi tam juz dwa dni Aron i ceka na pana, to musi sobie łokieć pod łeb podłożyć i tak się przespać.

— Dobrze mu tak — pomyślałem — bo to on pewnie, zahipotekowawszy swoją należność na Przytyku, nie chciał, ażeby tę wioskę przezwano *Sans souçi*.

Doszliśmy do pierwszej chałupy.

— Czy tu myślisz dostać bryczki? — zapytał ironicznie Józef.

— Zajdźmy — jakiś płacz słychać.

— Pewnie pijany Maciej wrócił z jarmarku i częstuje dzieci kułakami.

Wązkie opłotki chrustowe łączyły z gościńcem zapadniętą i nadwyrężoną chatę, do której przytulił się mały, kałużą otoczony chlewek. Z pod zniszczonej słomianej strzechy wyglądało małe okienko, jak ślepe oko żebraka z pod zlepionych brudem włosów. Ściekające z dachu krople deszczu spadały jak lzy nędzy, błagającej o litość. Na progu siedziało troje obdartych i zabrudzonych dzieci, które szlochały lub krzyczały przeraźliwie. Najstarsza dziewczynka lat siedmiu okryła się przynajmniej zszarzaną chustką, młodsza zarzuciła na głowę fartuch, ale dwuletni z siną twarzą chłopczyna miał na sobie tylko koszulę, przez której długi rozpór na piersiach ukazywała się pręga latem spalonego na słońcu, a teraz zmoczonego na deszczu ciała.

— Co to wam? — spytałem łagodnie.

Przestały płakać, ale nic nie odrzekły. Józef został na dworze, ja zaś przestąpiłem próg i o mało nie runąłem w zapadłej sieni, w której czuć było wyziewy obory. Na lewo znajdowały się drzwi do izby, uchyliłem je lekko. Cisza.

— Gospodarz w domu?

Nikt się nie odezwał. Wszedłem. Niewielką izbę zalegał mrok, słabo rozjaśniony światłem drobnego i do połowy zaklejonego okienka. Przyjrząwszy się jednak uważniej, spostrzegłem kilka zwykłych sprzętów, kilka zczerniałych obrazów, za którymi tkwiły pęki ziół i świeca woskowa, wreszcie łóżko, a na niem wychudłą, starym kożuchem okrytą kobietę. Gdy się wpatrywałem w jej trupią twarz, nagle coś poderwało się pod moimi nogami. Odskoczyłem strwożony — było to leżące i do łóżka przywiązane ciele. Kobieta ani drgnęła; domyśliłem się więc odrazu, że musiała to być zmarła matka płaczących dzieci. Uczulem nieprzyjemny dreszcz; cofnąłem się ku drzwiom, gdy w tem znowu rozległ się płacz przed domem. Wybiegłem. Przy płocie, przytykającym do chlewka, stały dzieci zalane łzami. Najstarsza dziewczynka, wspięta na palcach, spoglądała za płot. Zbliżyłem się i ku wielkiemu zdumieniu ujrzałem tuż za nim świeży dół, z którego dna podstarzały już wieśniak wyrzucał na wierzch ziemię. Miałżeby to być grób dla umarłej kobiety?

— Co wy robicie? — zawołałem.

Wieśniak wyprostował się, popatrzał na mnie surowo i odrzekł:

— Rozgrzewam się.

— Tu myślicie żonę pochować?

— E, co tam panu do tego — mruknął, nie podniósłszy nawet oczu. Zatknął rydel, wyskoczył z dołu, wysunął żerdzie z jednej części płotu, zdjął z kołka postronki i wszedł do domu.

— Oszalał! — szepnąłem do Józefa, który zdala był niemyym świadkiem tej sceny. Poszedł po żonę, trup leży w izbie.

— Zwierzę — rzekł mój kolega wzgardliwie.

Serce mi bić zaczęło przyspieszonym tętnem. Utkwiliśmy obaj oczy we drzwiach chaty, oczekując niespokojnie jakiegoś strasznego widoku. Wieśniak długo nie wychodził. Od czasu do czasu tylko słychać było głuche stukania, jak gdyby coś przewracał. Nareszcie ukazał się w cieniu sieni, okręcony postronkami, na których ciągnął z wysiłkiem poza sobą jakąś białą masę. Dźwignąwszy ją na progu, szarpnął gwałtownie i wywłócił na podwórze białą, nieżywą... krowę.

Co to miało znaczyć?

Dzieci wybuchnęły gwałtownym płaczem.

— Papierucha! papierucha! — wołało dwoje starszych rozpaczliwie.

Wieśniak nie zatrzymując się, przeciągnął krowę za płot, odwiązał postronki, zepchnął ją do dołu wśród krzyków dzieci i popatrzywszy smutnie, usiadł zmęczony na stercie piasku.

— To nie moja zona — ale ich matka — rzekł do nas, wskazując na dzieci. Wszystkie wykarmiła. Płaccie, płaccie, bo ona wam już mleka nie da.

Dzieci odpowiedziały tak serdecznym łkaniem, że i ja poczułem łzy w oczach.

— Bieda — mówił dalej — chłopska bieda. Zona rok już umiera i dźwignąć się nie może, śtery morgi piasku dosyć chleba nie urodzą, ot ta poćciwina nam pomagała. Jakem drugiej dopozyczył, to i ziarno zwiozła i pole zorała i jescce dzieciom mleka dała. Ha, wola boza. Zdechniemy i my, jak ona zdechła!

— Cóż jest waszej żonie? — spytałem.

— A bom ja doktor? Chłop nie pan, zeby wiedzioł, na co umiera. Choruje i choruje. Lekarka z Podborza mówi, że to kołtun, a u nas jest baba, co gada, że to wole. Słabowała tu kobieta, zwieźli felcera, dał lekarstwo, udzieliłi kapkę, napiła się, ale gdzie tam? Pokrzywiło i trzyma, a umrzeć nie daje. Jakby raz skończyła, toby skończyła, a tak... Boże bądź miłościw. O, moja biedna papierucha — zawołał głęboko wzruszony, patrząc w dół — gdybyś ty... Ha!

Porwał się, chwycił rydel i począł dół zasypywać. Każda garść ziemi spadała z wzrastającym płaczem dzieci.

— Papierucha! papierucha! — wołały one ustawicznie.

Skończył się wreszcie ten dziwny pogrzeb.

— Nie płacta małe — krzyknął ojciec — mamy od niej jałoskę.

Dziwnie mi się zrobiło w tej chwili. Doznałem nieopisanego pragnienia pomódz biedakowi, ale chuda sakiewka studencka nie pozwalała na sowite wsparcie. Trudno, co można!

— Przyjmijcie odemnie gospodarzu 10 rubli — rzekłem zakłopotany — tyle tylko wam dać mogę.

Pocziwy Józio nie pozostał obojętnym i on dołożył tyleż do mojej ofiary.

Wieśniak wziął pieniądze, popatrzał na nas zdziwiony, zdjął czapkę; chciał coś przemówić, ale tylko usta mu zadrgały, a z oczu polały się strumienie łez.

Odwróciłem się od tego przykrego widoku. Za nami stał Marcinek.

— Jest oś! — rzekł tryumfująco.

Zanim wieśniak, trzymający w ręce nasze ruble, zdołał przemówić, myśmy już siedzieli na bryczce i ruszyli do stacyi.

— Tak, nieszczęście jest wielkością człowieka na ziemi — rzekł Józef w zamyśleniu. Obejrzałem się.

Wieśniak stał ciągle z odkrytą głową, wreszcie podniósł czapkę i coś zawołał.

Turkot bryczki jednak nie pozwolił nam jego głosu dosłyszeć.

Nazajutrz poszedłem do uniwersytetu. Pierwsza prelekcya już się rozpoczęła. Gdy wchodziłem do auditorium, usłyszałem jak profesor ekonomii politycznej wymawiał zdanie: „Prosty wieśniak jest dla tego od nas szczęśliwszy, że mając mniejsze potrzeby, doznaje mniejszych cierpień...”

W tej chwili Józio spojrział na mnie i uśmiechnął się smutnie.

## II

— Panowie daleko jedziecie? — spytał częstując papierosami, nasz dziwnie wesoły towarzysz, który przez godzinę wspólną podróży w jednym wagonie zdołał nam opowiedzieć dużo swoich szczęśliwych zakładów na wyścigach.

— Do Otwocka.

— A, to wysiadamy razem.

— Ale my jeszcze trzy mile końmi.

— Dokądże?

— Do Owsianek, majątku rodziców mojego kolegi.

— Zatem mam przyjemność spotkać pana Gołębskiego — rzekł nieznajomy, zwracając się do Józefa. Jestem niemal pańskim sąsiadem — Wilkołycki.

Nastąpiły wzajemne ukłony i zapewnienia, że nam wszystkim trzem było „bardzo przyjemnie”. Jakkolwiek o panu Wilkołyckim słyszałem dość często i dość wiele, bawiąc jednak zaledwie przez kilka tygodni podczas wakacji w domu państwa Gołębskich, nie miałem sposobności a wreszcie i chęci go poznać. Właściwie nawet zapomniałbym zupełnie o jego istnieniu, gdyby nie nasza przygoda z osią w Przytyku.

— Długo panowie zostajecie jeszcze w uniwersytecie?

— Skończyliśmy już kursa i jedziemy odpocząć — odpowiedział Józef.

— A powinszować, powinszować — zawołał Wilkołycki i uścisnął nam ręce.

Lokomotywa gwizdnęła, dojeżdżaliśmy do stacyi.

— Kochany sąsiad — rzekł ujmując nasz znajomy do Józefa — nie odmówi mi wraz ze swym kolegą wielkiej przyjemności. Jest już wieczór, ciemno, macie panowie trzy mile do domu, zanocujecie u mnie — zgoda?

Daremnie w ścisłem ze mną przymierzu Józef wymawiał się od tych zaprosin. Wilkołycki umiał tak nas skruszyć swemi serdecznościami, że musieliśmy uleść.

— Zróbcie to — mówił — dla człowieka, który was szczerze pokochał i który również niedawno opuścił ławę uniwersytecką.

— Gdzie pan kończył? — zagadnął Józef.

— Spytaj pan, gdzie nie kończyłem! — odparł Wilkołycki, chwycił oba nasze tłomczki, a gdy drzwi od wagonu otwarto, podał je posługaczowi kolejowemu.

— Wysiedliśmy. Marcinek, stale najmowany furman Józefa, spostrzegłszy nas, podbiegł, zdjął czapkę i kłaniając się, rzekł do mnie wesoło:

— Dziś juz panie mamy oś jak mur. Wziąnem nowiusienką, jesce niesmarowaną.

— Dobrze, mój Marcinku, ale nie pojedziemy.

— Cemu? — zawołał zdziwiony.

— Bo pan Wilkołycki zaprosił na noc.

— E — cmoknął Marcinek — djabli skarali z takim noclegiem. A tozby się panowie na bryce lepiej przespać mogli. W Przytyku wróble juz gniazd nie ścielą, niema nawet cem zęba wykłuć.

— Nie rezonuj — oburknął się Józef — i idź do koni.

— Nie wiem co państwo na to powiedzą — mruknął Marcinek i oddalił się.

Przeszliśmy kwaśni na drugą stronę dworca, szukając Wilkołyckiego. Dostrzegłem go zdala, dającego przyciszonym głosem jakieś napomnienia młodemu chłopcu w poszarpanej liberyi furmańskiej.

— A pamiętaj, jak masz odpowiedzieć — rzekł do niego odchodząc.

Wysoka, barczysta jego postać rysowała się wspaniale na tle nocy, rozjaśnionej światłem kolejowej latarni. W ruchach, w podniesieniu głowy, w starannem ubraniu, znać było pana i człowieka, który nie potrzebował rozpierać tłumy kulkami dla wolnego przejścia, bo tłum sam przed nim się usuwał. Przy blasku dnia Wilkołycki mógł mieć lat czterdzieści, ale gdy pod cieniem wieczoru znikły lekkie zmarszczki i brodawki jego bladej, prawidłowej, czarnym wąsem ozdobionej twarzy, wyglądał na świeżo dojrzałego mężczyznę, który zaczął dopiero kosztować życia.

— Trzeba przyznać, że obywatel ten ma fason — rzekł Józef, odczuwający zawsze towarzyską wytworność.

— Dla krawców pociecha — wtrąciłem.

— Jesteście panowie — zawołał Wilkołowski — no, jedziemy! Grzegorz, Grzegorz!

— Co jaśnie pan każe? — odezwał się posługacz kolejowy.

— Kufferki nasze są już w powozie?

— Wszystkie.

— Zatem, siadajmy.

— Marcinek za nami! — krzyknął Józef i ruszyliśmy do stojącego w głębi pod drzewami powozu, który okazał się malutkim, starym, niemiłosiernie poturbowanym wolanem. Tłomoczki nasze zajęły całe jego wnętrze, z poprutych poduszek ceratowych sterczały grochowiny, a nadto podziurawione pudło chwiało się za najmniejszym dotknięciem. Na szczęście tę rozbitą skorupę miały ciągnąć dwa wysokie i chude konie, od których nie można było się spodziewać zbytniego zapachu.

— A ty psu bracie, czym przyjechałeś? — krzyknął na furmana Wilkołowski, założywszy binokle i przypatrzawszy się bacznie swemu ekwipażowi.

— Proszę jaśnie pana wszystkie cugowe oberwały się wczoraj z kantarów i jak wpadły na płoty, tak sobie het pościerały nogi.

— A nie mogłeś zaprzędnąć do powozu?

— Kiedy jaśnie pani kazała po siebie przysłać, a karetę za ciężką.

— To furman! Cztery konie okaleczył i jakiś grat tu przywłókł. Przepraszam panów — rzekł zwracając się do nas — za tego gapia i za niewygodę, na jaką mimowolnie narazić was muszę.

— Jedźmy bryczką Gołębskiego — wtrąciłem, podsuwając najszcześniejsze rozwiązanie komedii.

— Tak źle jeszcze nie jest — odparł Wilkołowski — przelecimy szybko.

Usiedliśmy z podkurczonymi i pomieszanymi nogami, jak na czułych szalkach równoważąc ciągle pochylenia wolanta.

— A trzymaj konie mocno — upominał Wilkołowski — żeby się nie zlekły i nie zbiegały.

One też, jak gdyby dla dogodzenia swemu panu, nie słuchały rżęsiwych smagań furmana i nie dały nawet lekkim truchtem powodu do obawy. Za nami, gwizdząc sygnały pocztowe, jechał Marcinek, rozparty na swojej szerokiej bryce, którą Gołębski oszczędny gospodarz i wróg zbytku, zwykł był w porze roboczej wraz z końmi najmować dla przywiezienia syna. Ach, z jakąż tęsknotą zgnieciony i połamany na pańskim wolancie, oglądałem się za tym prostym, drobnoszlacheckim korabiem! Jedyną rozkoszą była piękna, wonna i orzeźwiająca noc lipcowa, która zlewała balsamy na wszystkie dolegliwości tortury podróży.

Długo milczeliśmy, wreszcie Wilkołowski chcąc zapewnić nas pocieszyć lepszą nadzieją, rzekł:

— Moje *Sans souçi* jest ustroniem skromnym, ale posiadam w niem coś, co, przynajmniej w naszej okolicy, jest rzadkością.

— Cóż takiego? — zapytałem.

— Zobaczycie panowie. Rozpocząłem niezwykłą u nas hodowlę, po której spodziewam się wielkich rezultatów. Nie przeczę, że dotąd jest to tylko rozrywka, ale rozrywka obiecująca poważną korzyść. Trudno, musimy wyjść z dotychczasowego deptaka gospodarczego, a raczej rozszerzyć jego koło dla dwu względów: dla przyjemności osobistej i dla podniesienia kultury. Proszę panów, mówmy szczerze: czy człowiek z wyższym umysłem może zadowolić się jednostajnym wychowywaniem bydła, koni, owiec i drobiu swojskiego, a przytem czy przemysł krajowy powinien się wiecznie kręcić na jednym miejscu? Wszystkie szlachetniejsze gatunki zwierząt: bobry, tumaki, wytępiłiśmy, a nowych nie przyswajamy. Dlaczego Ameryka jedynie ma posiadać papugi, a Azja słonie? Dlaczego nasze lasy, pola, rzeki nie zapełnią się fauną innych stref? Na pytania te odpowiadano mi zawsze, żem poeta. Nie przeczę, bo do wszelkich śmiałych ruchów potrzeba nieco poezji.

Wilkołowski mówił z takim zapalem i przekonaniem, że mnie ujął dla swych pomysłów wzbogacenia fauny krajowej. A, więc on na to rujnuje majątek i tem wyrabia sobie sławę szalawili! — pomyślałem.

Zajęci tym przedmiotem, dojechaliśmy wreszcie do Przytyka. W miarę jak posuwaliśmy się w głąb wioski, rozmyślenia moje nad hodowlą papug u nas ustępowały miejsca

wspomnieniom dziwnego pogrzebu, którego byłem świadkiem minionej jesieni. W pamięci stanęły mi żywo dzieci płaczące nad grobem krowy, zropaczony wieśniak, chora jego żona. Zdążyłem upatrywać znajomej chaty, którą pomimo ciemności rozpoznałem dokładnie. Na widok jej łza mi z serca się wycisnęła. Patrzyłem ciekawie, szukając oczyma jakiegoś znaku doli biedaków. Z okna błyskało światelko, na podwórzu jednak nie było nikogo, tylko przed domem stała poważnie czarna krowa obok młodej białej jałowicy.

— Patrz — krzyknąłem uradowany, szarpnąwszy Józefa za rękę — ma!

— Co pan takiego dostrzegłeś? — zapytał Wilkołycki.

Opowiedziałem mu nasze zdarzenie.

— No osądź pan teraz — rzekł — czy to są ludzie! Mąż nie płacze nad chorą żoną, dzieci nad matką, ale gdy im krowa zdechnie, wpadają w rozpacz.

Słuszności tego spostrzeżenia zaprzeczyc nie chciałem, więc umilkliśmy, tembardziej, że konie Wilkołyckiego, które na szczęście ani razu przez drogę się nie zlekły, poczuwszy bliskość stajni, pozwoliły sobie lekkiego truchta.

— Trzymaj mocno! trzymaj! — wołał na furmana dziedzic Przytyka.

Przy kilkakrotnym trzasku z bata zajęchaliśmy przed dom. Na spotkanie nasze wysunął się tylko smukły z wieżyczką ganek, przez który, nabawiwszy sobie kilka guzów w niskiej sieni, weszliśmy do pustego przedpokoju. Przy oknie, na którym paliła się mała łojowa świeczka, stał niemłody izraelita i kiwając się, mruczał wieczorną modlitwę. Spostrzegłszy nas skłonił się lekko i dalej szeptać począł, odwrócony plecami. Wilkołycki ujrawszy go, poczerwieniał, ale rzekł z przymuszonym uśmiechem, wprowadzając nas do ciemnego pokoju.

— Tylko żyd i pies wiernie domu strzegą, rękę panom długoletniem doświadczeniem. A ten stary arendarz jest tak do mnie przywiązany, że z pewnością w tej chwili za mnie się modli.

Zapaliwszy świecę, gospodarz przeprosił nas i wyszedł do niewidzialnej służby. Owocem tej wyprawy była herbata, chleb z masłem i spodeczek konfitur.

— Po kawalersku, panowie, po kawalersku. Kto nie ma żony, nie ma kuchni.

Wyznam, że nigdy mi cudze kawalerstwo mniej nie smakowało. Byłem tak głodny, jak Ugolino i omal nie zacząłem ogryzać własnych palców. Jakkolwiek Wilkołycki upewniał nas, że wegetaryanizm jest najdobroczynniejszym w jedzeniach wieczornych, że świeże powietrze dziwnie go zasycza, nie zauważył jednak widocznie w nas wyznawców swojej higieny, bo poradził, ażebyśmy po trudach podróży udali się wcześniej na spoczynek. Życząc przyjemnych marzeń, powiódł nas przez pustą izbę do trzeciego pokoiku i na progu pożegnał. W sypialni stały dwa stare, na czerwono pomalowane łóżka. Zbliżywszy się do jednego z nich, spostrzegłem brudną niepowleczoną pierzynę, położoną zamiast materaca na kilku poprzecznie przeciągniętych sznurach, na niej wykropkowaną przez muchy, pająki i pchły poduszkę, a do okrycia zwykłą końską derę. Z pościeli tej wydobywała się mocna woń kuchni i stajni. Stałem z załamanymi rękami nad tem gniazdem, w którym los mi niewinnie kazał całą noc przespać. Obejrzałem się — Józef dumiał również zgnębiony nad podobnym łóżem.

— Wpadliśmy — co? — rzekł z uśmiechem.

— Podobno lepsza chłopska stodoła, której się tak obawiałeś.

W tej chwili wszedł do pokoju zaspany parobek, niosąc nam dzban wody i miskę.

— Mój przyjacielu — odezwał się Józef — pamiętajcie tam o moich koniach.

— A dyć, pamiętać by się pamiętało, ale kiej Aron, jak zabrał ostatnie dwa cugowe konie, tak teraz wszystko wywozi. Niema ani garści owsa.

— Pięknie ten żyd za niego się modli — rzekłem po odejściu służącego.

Zarzuciwszy na brudną pościel surduty, okryci paltotami, położyliśmy się spać. Załedwie jednak przymrużyłem oczy, poczułem przebiegające mi po twarzy i rękach jakieś drobne żyjątka. Józef także syknął i zerwał się na równe nogi. Zapaliliśmy świecę: wszelkiego rodzaju domowe, nader obłaskawione owady roiły się na naszym posłaniu.

— A więc to pewnie hodowlę tych gatunków obiecał nam pokazać Wilkołycki — rzekł Józef. Mógłby je wytępić bez uszczerbku dla fauny krajowej.

Polowanie w łóżkach zajęło nas do brzasku dnia. Uzbrowiwszy się w cierpliwość i tolerancję, spróbowaliśmy znowu zasnąć. Na domiar jednak naszej niedoli w sąsiednim



pokoju jakiś ptak zaczął takie wyprawiać harce, tak bić skrzydłami o ścianę, że w połączeniu z wędrówką owadów ciągle nas rozbudzał. Nareszcie zrobiła się cisza; robaczki nasyciły się, czy też złagodniały i my znużeni zapadliśmy w sen głęboki.

Zaledwie słońce zabyło, zerwaliśmy się obaj, umyli, a że ręczników nie podano, otarliśmy się chustkami, czekając niecierpliwie wyjazdu. Przebyte cierpienia dostarczyły nam wątku do wesołej rozmowy, gdy nagle z sąsiedniego pokoju, w którym hałasował ów ptak, ryknął przeraźliwie Wilkołyski. Wbiegliśmy przerażeni: dziedzic *Sans souçi*, w bieleźnie i szlafroku, siny z gniewu, z rozrzuconymi włosami, zacisnąwszy pięście, krzychał na bladą od strachu dziewczkę.

— Uduśzę cię, szelmo, pod bronę przywiążę, kołek w gardło zabić każę!

— Proszę jasnie pana — tłómaczyła się dziewczka — co ja winna, że on przelknąć nie mógł.

— Coś ty winna zbrodniarko, a nie mogłaś podrobić!

Tu Wilkołyski uderzył ją kulakiem w twarz, porwał za kark i wrzucił do kuchni.

— Przepraszam panów — rzekł sapiąc wzburzony — ale co ta suka mi zrobiła! Zamierzyłem rozpocząć na wielką skalę hodowanie bażantów. Pojechałem aż nad granicę austriacką do hr. Potockiego, kupiłem za 15 rs. jedną samicę, przywiozłem ją przed dwoma tygodniami w klatce, pielęgnowałem jak dziecko, teraz znowu byłem w Skierniewicach dla kupienia samca, tymczasem ta kłoda dała wielkich klusek, bażant się udławił i zdechł. Widzicie teraz panowie, jak to z naszym ludem można wprowadzać do gospodarstwa nowe gatunki.

W tej chwili dopiero spostrzegłem na podłodze martwego bażanta, któremu z dzioba wyglądał koniec olbrzymiej kluski.

— Janie! — krzyknął Wilkołyski.

Przybiegł parobek.

— Rąbać mi tu zaraz podłogę, wykopać dół i pochować tego ptaka w pokoju, tak, w pokoju! Niech przynajmniej złodzieje wiedzą — rzekł po odejściu parobka — że to nie zwykła kura, którą się za płot wyrzuca.

Jan przyniósł siekiere i rydel, wyrąbał dziurę, zrobił mały grób i ze czcią złożył bażanta. Gdy go zasypywał, Wilkołyski westchnął głęboko wzruszony i rzekł filozoficznie:

— Ot, bądź bażantem wśród podłego drobiu, zadławią cię prostą kluską.

Zachowawszy należne temu uroczystemu pogrzebowi milczenie, opuściliśmy cmętarz bez stypy. Nawet o wegetariańskim śniadaniu nie mogło być mowy. To też pożegnawszy gospodarza, który nas stokrotnie przeprosił za doznane przykrości, siedliśmy na bryczkę.

Wyjechawszy na drogę, spojrzeliśmy sobie z Józefem w oczy i parsknęli gwałtownym śmiechem.



---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/na-pogrzebie/>

Tekst opracowany na podstawie: Aleksander Świątchowski, *Obrazki powieściowe* [Pisma, T. I], G. Gebethner i Spółka, Kraków [1896].

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonał Wojciech Kotwica, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0836-2

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).